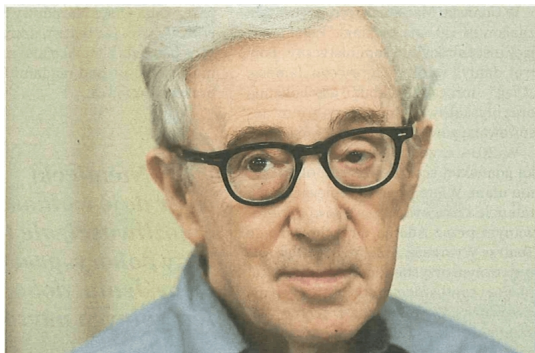




W swojej autobiografii Woody Allen jak z kapelusza wyjmuje kolejne anegdoty, ale kpiarski ton nie przykrywa rzeczywistego celu tej książki: żarliwej obrony swojego dobrego imienia.

Jeszcze kilka lat temu kręcił film za filmem. Wychodziło raczej gorzej niż lepiej, ale nikt nie kwestionował wartości jego dorobku. Dzisiaj Allen jest persona non grata. Kariera twórcy „Annie Hall” legła w gruzach po tym, jak jego córka Dylan Farrow w stacji telewizyjnej CBS oskarżyła go ze łzami w oczach o molestowanie, gdy miała siedem lat. Oskarżenia nie były nowe, w 1993 r. sprawę badali śledczy. Allena oczyszczono z zarzutów. Zmieniły się jednak czasy.

Na fali akcji #MeToo Allen został zrównany z seksualnymi predatorami w rodzaju Harveya Weinsteina. Nagle aktorzy zaczęli przeproszać za udział w jego filmach i zapowiadali przekazanie swoich honorariów na rzecz organizacji walczących z przemocą seksualną. Amazon zerwał z nim umowę. Hollywood się od niego odwrócił. Ta książka jest formą samoobrony. Wygrał proces z Amazonem, teraz walczy o swoje dobre imię. Neurotyczny intelektualista odsłania nową twarz: adwokata, który potrafi wytoczyć najcięższe armaty, by się bronić. Nie zostawia suchej nitki na swojej byłej partnerce Mii Farrow. Przedstawia ją jako przemocową histeryczkę, która traumatyczny bagaż rodzinnych doświadczeń kompensowała w kolejnych niefrasobliwych adopcjach (w sumie adoptowała dziewięcioro dzieci). Twierdzi, że wmówiła ich córce molestowanie przez własnego ojca - miała to być zemsta za romans reżysera z jej inną adoptowaną córką Soon-Yi (obecnie żoną Allena). Takiego Allena jeszcze nie znaleźliśmy - złośliwego, cynicznego, pełnego urazy. Momentami jego oskarżenia wobec byłej partnerki przypominają fragmenty rozprawy rozwodowej. Ujawnia intymne szczegóły z ich życia, ocenia, oskarża. U schyłku życia rozpaczliwie walczy o obronę własnego dorobku. Próbuje być przy tym zabawny, ale wychodzi z tego koślawe skrzyżowanie komedii slapstickowej i telenoweli brazylijskiej. Można próbować go zrozumieć, ale nie sposób wybaczyć jednego: seksizmu. O swojej babce pisze, że była „gruba i głucha”. Matkę porównuje do Groucho Marxa,

wspomina przy tym, że miała pięć siostr - „jedna brzydsza od drugiej, przy czym ona sama była zapewne najbrzydsza z roju”. O dziewczynie, z którą umówił się na randkę, opowiada, że była jedną z tych rozkosznych, cyganeryjnych brzoskwinek”. Scarlett Johansson jest według niego „seksualnie radioaktywna”. Czy wyczuwają państwo ten ton emerytowanego erotomana gawędziarza?

Z autobiografii Allena wyłania się jednocześnie fascynujący autoportret artysty w czasach późnego kapitalizmu. Można się zżymać, że nazywa matkę brzydulą, ale uważny czytelnik zauważy, że chwali ją także za inteligencję. W innym miejscu wspomina, że był przez nią regularnie bity. Po lekturze tej książki można o Allenie mówić różne rzeczy, ale nie to, że jest jednowymiarowy. Tytuł „A propos niczego” jest mylący, bo przecież Allen walczy tą książką o wszystko. W końcówce pisze, że lubi kręcić filmy, ale nie przejąłby się, gdyby już żadnego nie wyreżyserował. Błefuje, to jasne, ale też jak zwykle broni się kpina: „Jest mi kompletnie obojętne, co się stanie z moimi dziełami po mojej śmierci. Sądzę, że kiedy będę trupem, to bardzo niewiele rzeczy będzie mi działało na nerwy, nawet ten irytujący hałas, który sąsiedzi robią dmuchawą do liści”.